

Renata Zmigrodzka

Huculszczyzna

Kraj Huculów i żydów

Kosów w sierpniu. Kraj malowniczego folkloru, najbardziej wysunięty na południowy — wschód cypel Rzeczypospolitej, Huculszczyzna, zamieszkała od wieków przez plemię Huculów, szczyci się może nie tylko urozmaiconym krajobrazem górskim, Huculszczyzna to powiat Kosowski ze słynnym miasem kilimów Kosowem. Część powiatu kołomyjskiego i nadwórniańskiego. To piękna polska nasza z zamkniętą zakreślono czerwono na mapie linią granic umunii i Czechosłowacji, w rzeczywistości granic tworzy tu z jednej strony Białe Czerwone, (Rumunia), a granica czeska biegnie po szczytach Karpat.

Dziwny kraj

Dziwny to kraj ta Huculszczyzna. Piękny, malowniczy strzelający het pod niebo wysokimi szczytami gór (Czarnohora, Gorgany, Beskid Huculski), huculscy liczni górnicy potokami i szeroko rozlanymi strumykami (Czarny i Białe Czerwone, Prut, Bystrzyca) zasiany poloninami i kukurydzowymi polami, w południowej swej części gorącej i wiecznie słonecznej, w zachodniej północnej deszczowej. Podczas gdy np. w Kuchach przeważnie jest pogoda, Jaremcze słynie z codziennych opadów. Równie dziwny jak Huculszczyzna są jej mieszkańcy — Huculi.

Na warszawską modę

Miejscowości położone w dolinie rzeki Prutu nie wyróżniają się charakterystycznością regionalizmu. Są to bowiem letniska za budowane domkami na wzór wszystkich wili uzdrowiskowych. Mieszkańcy tych okolic to przeważnie właściciele pensjonatów, ewentualnie sklepików i sklepów istniejących tylko dzięki przyjeźdnym urlopowiczom. Jednym słowem „ludzie jak inni” różniący się jedynie od Warszawiaków śpiwnym akcentem. Oprócz zmanierowanych na warszawską modę Huculów gros stałych mieszkańców Delatyna, Jaremcze, Wrochty i t. d. stanowią Żydzi, skupiający tak handel jak i przemysł regionalny niemal wyłącznie w swoich rękach.

Huculi

Bardziej na południe oraz w głębi Huculszczyzny dopiero można obserwować prawdziwe życie tego narodu. Wprawdzie i tu jak w ogóle w całej Huculszczyźnie pełno jest Żydów, wprawdzie i tu powstają od czasu do czasu nowe domki i wille, tu jednak żyją wprawdziwi Huculi z krwi i

kości, z religii i języka, z nazwiska i obyczajów.

Huculów popularnie uważa się za plemię ruskie, są oni jednak odrębnym szczepem powstałym ze zmieszania ludności wołoskiej, ruskiej i polskiej, pochodzenie ich jednak nie jest z pewnością ustalone. Ich nazwiska i imiona typowo ruskie, lub wręcz przeciwnie rdzennie polskie, szlacheckie często, wreszcie rumuńskie, węgierskie a nawet niemieckie nie stają im na przeszkodzie we wspólnym łączeniu się pod jedną nazwą Hucula.

Raj żydowski

Ktoś, kto po raz pierwszy zawitał w te strony staje naprawdę zdziwiony przed odrębnością tej ziemi. Oczywiście, rzuci się w oczy dziwna mowa, nie przypominająca w niczym języka polskiego, różniące się jednak od języka ruskiego. Język Huculów opiera się na wpływach sąsiedniej Rumunii różni się w gwarze od ruskiego, natomiast napisy umieszczone np. na szyldach sklepowych są w większości pisane trzema językami. A więc po polsku, rusku i... żydowsku. Przyczyna tego ostatniego leży w zażyciu Huculszczyzny, a przyjeżdżających mocno razi. Razi przyjeżdżających, że sklepy są w dziedzinie wiedzy proc. w rękach żydowskich, razi, że kioski gazetowe (Ruch) prowadzone są przez Żydów, razi, że schronisko turystyczne (np. w Zabuju) jest w rękach żydowskich. Razi niezliczona ilość brodatych mieszkańców i razi ich rozpanoszenie. O ile np. w Jaremczu, Wrochcie nie mówią już o Dorze spotykamy na ulicach same bogate i „inteligentne” (?) Żydzi obgryzające z apetytem gotowaną kukurydzę, o tyle w Kutach i Kosowie spotyka się Żydów — chałaciarzy i Żydów — nędzarzy. Po za tym mieszka tu sporo Ormian.

Huculi żyją tu na boku, w miastach prowadząc małe warsztatki wyrabiające kilimy, często dla Żydów hurtowników wyzyskujących ich niemiłośniernie (1 zł. 50 za cały dzień pracy).

Bliscy i dalecy

Na wsi rzadko już mieszkają w „kurnych chatkach” (bez kominów) niemniej domki ich są bardzo ubogie i charakterystyczne. Główne ich zajęcie to chów bydła i owiec oraz praca w lesie. Olbrzymie stopy górskie obrosnięte łąkami — poloniny dające doskonałą paszę bydłu są podstawą bytu większości Huculów. Wyrob sera sprzedaż mleka i t. p. daje im możliwość jakiejś takiej egzystencji.

Inni wegetując na swych mikroskopijnych gospodarstwach żyją z uprawy kukurydzy i leśnictwa. Życie to spokojne, z dala od wielkich miast i wszystkiego co tak obchodzi ich mieszkańca. Z dala od politycznych burz i nie

Jerzy Stokowski

Arystokracja ryłca

Rozmowa ze Stanisławem Ostoją Chrostowskim

Chrostowski mówi:

...nie można zawsze i wyłącznie robić wielkich obrazów, ale nie wątpliwą koniecznością jest codzienne przycinanie się do podniesienia dobrego smaku i wymagań odbiorcy. To są rzeczy, które najrealniej wpływają na poziom i odbiorców i artystów.

— Nie można zawsze i wyłącznie robić wielkich obrazów, ale nie wątpliwą koniecznością jest codzienne przycinanie się do podniesienia dobrego smaku i wymagań odbiorcy. To są rzeczy, które najrealniej wpływają na poziom i odbiorców i artystów.

— Dlatego jestem w stałym kontakcie z Ars Christiana, bo w dziedzinie drobiazgów dewocyjnych dzieła się wprost strasznie rzeczy. W Wiedniu naprzykład widziałem bardzo wiele prze-

— Nie jest to codzienny wypadek, żeby artysta w przeciągu siedmiu lat zdobył takie uznanie, ale to mogło zdarzyć się tylko temu.

Stanisław Chrostowski swoją „karierę” zaczynał nie jako grafik, a jako malarz, bo przed studiami u Skoczylasa i pracą u Bartłomiejskiego, był w pracowni prof. Pruszkowskiego. ...nie można zawsze i wyłącznie robić wielkich obrazów, ale nie wątpliwą koniecznością jest codzienne przycinanie się do podniesienia dobrego smaku i wymagań odbiorcy. To są rzeczy, które najrealniej wpływają na poziom i odbiorców i artystów.

I tak powoli Chrostowski — drzeworytnik zaczął być niezbędny i poszukiwany i tak zaczęło się podnoszenie wymagań rynku i tak zaczęła się jego wyjątkowa kariera. ...nie można zawsze i wyłącznie robić wielkich obrazów, ale nie wątpliwą koniecznością jest codzienne przycinanie się do podniesienia dobrego smaku i wymagań odbiorcy. To są rzeczy, które najrealniej wpływają na poziom i odbiorców i artystów.

...nie można zawsze i wyłącznie robić wielkich obrazów, ale nie wątpliwą koniecznością jest codzienne przycinanie się do podniesienia dobrego smaku i wymagań odbiorcy. To są rzeczy, które najrealniej wpływają na poziom i odbiorców i artystów.

— Nie można zawsze i wyłącznie robić wielkich obrazów, ale nie wątpliwą koniecznością jest codzienne przycinanie się do podniesienia dobrego smaku i wymagań odbiorcy. To są rzeczy, które najrealniej wpływają na poziom i odbiorców i artystów.

— Dlatego jestem w stałym kontakcie z Ars Christiana, bo w dziedzinie drobiazgów dewocyjnych dzieła się wprost strasznie rzeczy. W Wiedniu naprzykład widziałem bardzo wiele prze-



Stanisław Ostoja - Chrostowski
Okładka do powieści „Żelazna Korona”

„Pomnik dźwiękowy dialektów niemieckich”

Kancelarz Hitler zarządził dostarczenie do swej siedziby w Obersalzbergu t. zw. „Pomnika dźwiękowego dialektów niemieckich Rzeszy”, t. j. bogatego zbioru płyt z oryginalnymi wzorami wszystkich odmian niemieczyny. Był to — jak wiadomo — podarunek urodzinowy urzędników niemieckich dla kancelarza.

Prace nad sporządzeniem pom-

nika trwały 8 miesięcy. Operatory odbyli samochodem około 25.000 km. po całych Niemczech, „chwytając” na płyty różne typowe fragmenty językowe w 300 punktach kraju. Całą serię sfastrykowano w wielce ograniczonej ilości egzemplarzy. Jedna seria znajduje się w ministerstwie propagandy w archiwum „dokumentów epoki”.

Artysta ma w dorobku czterysta kilkadziesiąt prac, drzeworytów, układów graficznych, książek, ilustracji i exlibrisów, ...nie można zawsze i wyłącznie robić wielkich obrazów, ale nie wątpliwą koniecznością jest codzienne przycinanie się do podniesienia dobrego smaku i wymagań odbiorcy. To są rzeczy, które najrealniej wpływają na poziom i odbiorców i artystów.

— Ale z drugiej strony z takiej np. „Ucieczki do Egiptu” sprzedał kilka tysięcy odbitek i tu odbiorcami byli dosłownie wszyscy.

Przy porównaniu jaką rolę odgrywa środowisko i pewnego rodzaju „klimat” w malarstwie i grafice, Chrostowski stanowczo zaprzecza jakoby tutaj różnice narodowe nie istniały bo właśnie ostatnia Międzynarodowa Wystawa Drzeworytów je pokazała.

...nie można zawsze i wyłącznie robić wielkich obrazów, ale nie wątpliwą koniecznością jest codzienne przycinanie się do podniesienia dobrego smaku i wymagań odbiorcy. To są rzeczy, które najrealniej wpływają na poziom i odbiorców i artystów.

Chrostowski żyje w atmosferze wysokiej kultury, i pewnego rodzaju „splendid isolation”. Jego pozycja daje mu perspektywę i rozmowa z nim jest olbrzymią satysfakcją, bo jest to jeden z niewielu artystów, który nigdy nie dbał o popularność, i który pomimo tego jest nie tylko niesłychanie popularny, ale w pierwszym rzędzie ceniony.

W. Szary

To był tylko sen...

Wicie jak i kiedy pisuję moje felietony? Tylko wieczorami. Siadam w małym pokoiku przy otwartym oknie. Kiedy nie mam tematu, patrzę w niebo. Tak było i wczoraj. Ciepła, letnia noc. Księżycza niema — ale są gwiazdy. Gwiazdy i... co to takiego? Jakies gwiazdy ruszają się. Czerwone i niebieskie. I szum... ah, to samoloty.

Są żołnierze, którzy w czasie pokoju narażają swe życie. Cenię pilotów. Ostatecznie oni są najbardziej żołnierzami. Są nimi więcej niż my wszyscy.

Chciałbym się teraz znaleźć w samolocie. Jak wygląda Warszawa w nocy? Żeby tak usiąść na miejscu obserwatora — napewno zajęte. Ale pewno jest jeszcze jedno miejsce wolne. Nigdy nie latałem w nocy, to musi być ciekawe. Byłem kiedyś we Lwowie w nocy na Wysokim Zamku. Nad miastem rozciąga się luna. U stóp prawie pionowo w dół, domy Zamarszyna, Świeca się latarnie uliczne, ale już nie tak jasno, jak tam nad miastem. Potem już czarna noc — i ten szum motoru. Lecimy. Jest zupełnie ciemno.

Nagle niespodzianka. Gdzieś nad nami, a nie u stóp, snopy światła. Skąd one się biorą? Co raz bliżej... podchodzimy do nich... zryw w górę i już jesteśmy nad olbrzymim pomostem... teraz zniżamy się... szum cichnie... lądujemy... Otwieram drzwi kabiny

ny.

Jakiś człowiek szczupły, bledy, podaje mi rękę. Dziwna twarz — spokojna i skupiona — czoło gładkie a jednak widać, że myślicie — dziwny spokój bije z całej postaci. Nic nie mówię, ale czuję, że muszę za nim pójść. Wchodzę do jasnej hali, wszędzie stoją rzędy stołów, o gładkich, błyszczących blatach. Na każdym stole jakieś retorty, próbówki, wagi.

— Coż to takiego? — zapytuje — laboratorium chemiczne, czy co?

— Nie — wyjaśnia spokojnie mój towarzysz — to biuro mierzenia lez i potu. Także czasem krwi.

— Więc to dla jakiegoś szpitala?

— Też nie. Tymczasem to taka spokojna robota, pozornie bez celu. Sens jej zobaczymy dopiero później. A na czym polega, zaraz pan zobaczy, właśnie zaczyna się mój dyżur. Niech pan siądzie tu obok mnie.

Zasiadliśmy przy jednym ze stołów. Teraz dopiero dostrzegłem niewielki ekran, umocowany przed nami na ścianie.

wszystko zmierzaliśmy. Teraz zobaczmy, czy nie trzeba trochę dodać... niech pan uważa... wiemy się...

Ekran zajął nieskazitelny biały, po tym zmiotł, ukazały się jakieś cienie... coraz wyraźniejsze... widzimy biurko, za którym siedzi gładko ogolony i ostrzyżony mężczyzna. Twarz kanciarza, uszy odstające. Obok na krześle młody jegomość, brunet, w czarnych okularach, nos orli, wargi jakby nadęte — wydatne, mięsiste.

Słyszymy jego głos:

— Panie prezesie, znowu smarują po gazetach różne bzdury. „Echo” porównuje nasz pawilon do rozciągniętego mankietu, „Satandar” codzienny” do wychodka, a „Rekord południowy” do nowoczesnej śmieciarki automatycznej...

— To coś nowego!

— Właśnie. Niewiadomo co jutro wymyślą. I ja i pan będziemy zdyskredytowani, jeżeli temu nie zaradzimy. Na szczęście już w tułajach gazetach ukazały się dziś pierwsze pochwały. Już je przetłumaczyłem i nasza agencja telegraficzna rozesłała je w kraju.

— Dobrze. Niech pan to wyśle telegraficznie, żeby się przedzie skończyło to ujadanie naszej prasy. Ile kosztuje taki telegram?

— Głupstwo. Tam będzie razem 4.000 słów, po pół franka, dwa tysiące...

Mój towarzysz trzącił mnie w bok.

— Niech pan teraz patrzy na retortę na lewo.

franków. Rysunek zacierał się stopniowo... co to... banknoty nikną, a na ściankach retorty osiadały kropelki prawie przezroczyste, większe i mniejsze.

— To są — objaśniał mój towarzysz — kropelki potu, te mniejsze, a te większe to łzy. Ty leż i potu trzeba utoczyć w kraju, by zdobyć te dwa tysiące franków... Patrzmy znów na ekran.

Widać było, jak dygnitarz wziął do ręki teczkę z wycinkami gazet. Zaczął czytać:

— „Wspaniały ów pawilon budzi zachwyt u publiczności. Stworzono cudowne dzieło sztuki, dalekie od wszelkiego szablony...” To „Echo de Soir”. Ile wzięli?

— Zaprosiłem ich recenzenta na śniadanie... rachunek 328 franków, z napiwkiem 350. Do serwetu wsadziłem czek na 5000 franków...

Spojrzałem na retortę. Znowu ukazały się banknoty, zamieniające się w małe i duże kropelki. Pot i łzy...

Mój towarzysz wyłączył ekran telewizyjny.

— Teraz — oświadczył — zobaczmy, jak się rozdziela pot i łzy, wyciśnięte na reklamę panów od wystawy. O, widzi pan!

Na ekranie ukazała się postać kolejarza, pędzącego do szlabanu kolejowego. Kropelki potu ukazały się na jego twarzy...

— Widzi pan — objaśniał mój rozmówca — ten kolejarz obsiuguje zwrotnice ręczne i szlabany na małej stacji. Kilkanaście razy musi przebiegać odległość 700 metrów. Przyjeżdża pociąg — musi zamknąć ręcznie oba szlabany.

ny. Po tym otwiera jeden, a pociąg zatrzymuje się na stacji na parę sekund i jedzie dalej. W tym czasie trzeba otworzyć drugi szlaban, bo przejeżdżni się denerwują, wiedząc, że pociąg już przejechał... Za kilkadziesiąt złotych można by urządzić automatyczne otwieranie i zamykanie szlabanu na odległość... No, ale teraz zobaczmy co innego. Przydział lez.

Uwaga! Znowu naciśnię kontakt. Na ekranie ukazała się inna scena. Objeżdża chłopie. Jakis człowiek wyprowadza zachudzoną krowę. Obok stoi kobiecina, ociera kciekacz oczu i zawodzi...

— O Jezusie, krowie biednej wdowie zabierają... Za te parę złotych... Czym ja teraz moje chłopaki sieroty wykaramię!

Ukazał się jeszcze młodzieniec ze znaczkiem Legionu Młodych w klapie (na prowincji ludzie wolno się orientują!).

— Trudno — przerwał lamenty gospodyni — podatki trzeba płać.

Miałem tego dosyć.

— Niech pan przerwie — poprosiłem.

— Trudno — odparł niezadowolony. — My musimy wszystko rozdzielić! Żeby pan wiedział, co się dzieło, kiedy wznoszono gmach jednego z banków... Mielśmy moc roboty, marmury, dywany, wspaniałe meble... W ogóle z „reprezentacją” mamy dużo roboty. Z bezmarną tepotą biurokratyczną także... to kosztuje... — Niedawno znów namierzaliśmy się strasznie z budową czterech kamienic na ulicy milionerów... Wie pan, przy Koszykowej... Kamienice Rubinsko

na, Wellischa, Glassa, Wertheima. Bardzo dużo roboty. Bo najpierw ci panowie korzystają z pomocy publicznej, premie wywozowe, ulgi takie, owakie... dochód, który zużyli na budowę nowych domów, wolny od podatku... po tym znowu dochód z tych kamienic też wolny od podatku... ciężka orka była z tymi kamienicami.

— No, a jak się buduje drogę, koleje, szkołę, jak się dzieciom kupuje książki, a żołnierzom karabiny...

— O, nie. Tu nieraz też trzeba potu, czasem lez, ale to ludzie chętnie sami rozbiegają między siebie. My tylko rozdzielamy to, czego na siebie dobrowolnie nie wezmą.

— A jak wszystko będzie rozdzielone?

— To będzie radość i wesele. Ale nie nadążymy, nie nadążymy... Czasem wszystkie rezerwy wypelniają się po brzegi...

— I co wtedy?

— Wówczas — ciągnął opowiadanie swym chłodnym, beznamiętnym głosem — pot i łzy zmieniają się na krew. To nam zmniejsza nadmiar lez i potu, opróżnia rezerwy...

Chwyciłem się za głowę.

— To potworne! — krzyknąłem. — Przecież toście powinni go kazywać wszystkim, to ludzie muszą zobaczyć!

— Po co? Przecież każdy rozumny człowiek sam to widzi...

Szum śmigieł... Czerwone światła przesuwają się po gwiazdystym niebie. Znowu siedzę przy swoim biurku. Wróciłem. To był sen...